

Stado – 6 – Variete

13 listopada 2010

„Cokolwiek mi mówisz, o Bujnowłosy, wszystko to jest prawdą. Ani bogowie, ani demony, o Czcigodny, nie znają twego objawienia.”

Bhagawadgita X – 14

Tego dnia nie padało co prawda, ale pochmurne niebo i silny, zachodni wiatr od morza wymuszały wręcz fatalny, przygnębiający nastrój. U tych, którzy uważali, że na okrągło powinno świecić żółciutkie, wesolutkie słońko. Ronson i Caster nie spali już od trzeciej rano, przygotowując się do przedstawienia i nie mieli ochoty ani czasu interesować się wytwarzanymi przez przyrodę nastrojami, choć pewnie robili nieświadomy błąd nie licząc się z humorami gości. Sami byli pełni radości i entuzjazmu. Cieszyli się jak dzieci. Mała kotlinka w której mieszkali od pięciu lat pod zmienionymi nazwiskami, w jednej ósmej mniej więcej, zagospodarowana była już od paru dni najrozmaitszym sprzętem – ocieniona lasem arena, a właściwie polana, na której rozstrzygnie się, co tu ukrywać, przyszłość ludzkości i ich własna, otoczona była przez kilkanaście potężnych reflektorów filmowych, teren dla szacownych uczestników zadaszony brezentową tkaniną chroniącą od ewentualnego deszczu i naszpikowany dziesiątkami ogrzewczych promienników podczerwieni, dwie eleganckie przyczepy campingowe służyły za kuchnię i przygotowalnię, małe białe budyneczki nieopodal był ostatnim ratunkiem dla cierpiących na niespodziewaną, nieodpartą potrzebę samotności. Co krok rozstawione głośniki i mikrofony.

Parking co prawda znajdował się poza kotlinką, ale dojście nie było uciążliwe – kilkadziesiąt metrów wygodną i niezbyt stromą ścieżynką. Piękny, przytulny leśny cyrk, niewidoczny jednak a raczej nierozpoznawalny z lotu ptaka, co wielokrotnie, w tylko im właściwy sposób sprawdzili. Brakowało tylko krasnoludków w czerwonych czapeczkach, bo królewny Śnieżki były wszak

przewidziane.

O godzinie piętnastej, na ustalonym z gośćmi skwerze w środku miasteczka, zebrało się przybyłe ze wszystkich stron kraju doborowe, dystyngowane towarzystwo. Niektórzy byli obecni w mieście już od kilku godzin, przygotowując sprzęt, prowadząc rozmowy z miejscowymi, węsząc na wszystkie strony. Tego dnia nad spokojną dotąd okolicą pojawiały się raz po raz różnego typu śmigłowce, nadlatując przeważnie od strony pobliskiej elektrowni atomowej Humboldt Bay. Mieszkańcy, wyczuwając, że coś się dzieje, mimo, że była to sobota, środek weekendu, pootwierali zamknięte normalnie sklepy i knajpki, jednak zatręśnienia spodziewanych klientów nie było. Kilku zaledwie obcych facetów przechadzało się sennie po ulicach i pobliskiej plaży wypatrując nie wiadomo czego i dopytując o jakichś naukowców o których nikt w miasteczku nie miał zielonego pojęcia. Całości dopełniały grupki miejscowych lumpów, szwendające się także bez celu i najwyraźniej chętne by ulżyć sobie na nieznajomych w typowy i niewyszukany sposób.

Tak więc o umówionej godzinie, na wspomnianym skwerku, stało lub siedziało na zielonych ławeczkach wykorzystywanych dotąd jedynie przez chmary ptaków, około sześćdziesięciu osób – głównie mężczyzn, raczej starszych i elegancko ubranych, rozglądających się ciekawie i niepewnie dookoła. Większość znała się wzajemnie i rozmawiali przyciszonymi głosami w kilku grupkach. Samochody, niektóre z ziewającymi wewnątrz kierowcami, czekały obok, zaparkowane bezładnie jak popadło. Miejscowy szeryf w odświeżonym uniformie, kręcił się bezradnie wokół nie bardzo wiedząc o co tutaj chodzi.

Nagle z bocznej uliczki wyjechała z hukiem na ryczących Harleyach grupka naćpanych, zarośniętych rockersów w obowiązkowych skórzanych kurtkach, obwieszonych różnym metalowym osprzętem i po dwukrotnym okrążeniu osłupiałego towarzystwa, zatrzymała się nieopodal. Wyłączyli diabelskie motory i jeden z nich, chyba przywódca – wyjątkowo odrażający typ – stanął zwinnie na swojej maszynie po czym przeraźliwym

dyszkantem oznajmił:

– No, łyse palanty. Witamy w naszym pieprzonym mieście. Pan Ronson zaprasza na bal. Zabierajcie to wasze całe żelastwo i jazda za nami.

Zrobiło się małe zamieszanie, po czym wszyscy rzucili się do swoich pojazdów. Po chwili główną ulicą miasteczka jechała wolno kawalkada kilkunastu samochodów osobowych najlepszych marek, dwa wozy transmisyjne i kilka furgonetek, wszystko w huczącej asyście piętnastu potwornych jednośladów z przekrzykującym harmider, ospowatym przewodnikiem na czele. Po kilku minutach nad całym tym bajzłem zawisły dwa śmigłowce bojowe. Natychmiast też poszły w ruch kamery i magnetofony. Cała karawana posuwała się wolno w stronę pobliskich wzgórz, zostawiając za sobą tumany kurzu i smrodu etyliny oraz stado wyjących psów, które zrezygnowały jednak w końcu z nieefektywnego, choć przecież efektownego obszczekiwania maruderów.

Na końcu tej drogi, która kończyła się małą przełęczą między dwoma dość stromymi pagórkami, skórzany cicerone władczym gestem zatrzymał konwój i oznajmił, że jego misja jest skończona, że dalej cholera należy iść piechotą, po czym skrzyknąwszy pozostałych, równie przyjemnych jeźdźców apokalipsy, odjechał z nimi z powrotem, w dół, ku miasteczku, zostawiając całe towarzystwo na pastwę żywiołów. Właśnie wtedy, zza drzew, jak jakieś nimfy czy rusałki, wyszło kilka przystojnych jednak częściowo już zużytych, młodych blondyn. Wzięły pod rękę po dwóch zaskoczonych panów i znowu cały ten dziwny pochód ruszył wolno, tym razem polną ścieżką, ku niedalekiej przełęczy. Technicy od transmisji, widocznie uprzedzeni, pozostali przy swoich wozach, krzątając się ostro, rozstawiając parasole anten i przygotowując łącza.

Dotarli wreszcie wszyscy do małej polanki, gdzie mile zaskoczeni ujrzeli wygodne, czteroosobowe stoliki, ocienione przyjemnie elastycznym, zielonkawym dachem, zastawione

bateriami przeróżnych butelek i przepełnionymi półmiskami zimnych przekąsek. Nieopodal lśniły bielutkie umywalki z bieżącą wodą i pełnym wyborem kosmetyków odświeżających. Pachnący rój pańienek był na każde skinienie, powietrze nagrzane setkami promienników i doprawdy warto było ponieść ten niewielki wysiłek związany z niecodzienną, emocjonującą podróżą.

Piętnaście minut przed ustalonym terminem rozpoczęcia pokazu i bezpośredniej transmisji na cały kraj, w stojących wkoło głośnikach zaczęło coś chrobotać, po czym goście usłyszeli wypowiedziane miękkim barytonem pytanie o gotowość wszystkich łącz i kanałów transmisyjnych, skierowane do obsługi technicznej obecnych tu stacji TV i radiowych. Kilku techników potwierdziło głośno zakończenie przygotowań i sprawność swoich ekip. Wszystko grało. Po chwili zaświeciły się nieczynne dotąd reflektory rozmieszczone wśród drzew i zgromadzeni goście znaleźli się w centrum jaskrawo oświetlonej polanki, w powodzi białego światła. Z boku, na małej niskiej estradzie, umieszczona była jakaś dziwna konstrukcja techniczna. Do momentu transmisji zostało jeszcze dziesięć minut. Niewidzialny baryton odezwał się ponownie.

– Szanowni Państwo. Zostało jeszcze kilka minut do rozpoczęcia pokazu i jeżeli ten hałas wytwarzany przez obserwujące nas śmigłowce nie przeszkadza wam w niczym to nie ma sprawy, niech sobie tutaj wiszą. Jeśli jednak jest inaczej to prosiłbym niektórych z obecnych o spowodowanie odlotu zbędnych teraz maszyn, z pożytkiem dla jakości przekazu, rzecz jasna.

Kilku z siedzących panów powiedziało coś z ociąganiem do swoich marynarek i po chwili w kotlinie zaległa idealna cisza, zakłócana tylko spokojnym, miarowym głosem technika z ekipy Harpera odliczającego sekundy do momentu zero. Start!

Na polanę, w pełnię światła, wyszedł zza drzew starszy, przystojny mężczyzna w czarnym smokingu, z radiomikrofonem w ręce i prawie niewidoczną małą słuchawką w lewym uchu. Skłonił

się uprzejmie do pracujących kamer, do siedzącej przy stolikach szacownej publiczności, a następnie podszedłszy spokojnie ku nieznanej konstrukcji zaczął mówić.

– Madames! Monsieures! Szanowni Państwo przed odbiornikami, Szanowni Państwo zgromadzeni tutaj. Nazywam się Ronson i jestem jednym z organizatorów tego show. Dziękuję uprzejmie za punktualne przybycie z różnych, odległych zakątków naszego pięknego kraju oraz za wcześniejsze uprzedzenie szerokiej publiczności o trwającej właśnie bezpośredniej transmisji. Szczególne podziękowania należą się sieci CMM, a zwłaszcza obecnemu tu panu Harperowi, za wyjątkowo staranne, sugestywne i obszerne zwiastuny.

Rozległy się nieśmiałe brawa, jeden z reflektorów skierował się na publiczność i zawstydzony, rostry grubas, siedzący obok starszej, eleganckiej damy, wstał od stolika by po kilku niezgrabnych dygnięciach z powrotem opaść ciężko na krzesło.

– Szanowni państwo. Aby nie tracić ani chwili nie będę wymieniał i witał oddzielnie żadnego ze znakomitych, obecnych tutaj gości. Powiem tylko, że jest to najdziwniejszy i najbardziej szacowny skład osobowy jaki można sobie wyobrazić. Jeszcze raz dziękuję za przybycie. (Oklaski) Jak się za chwilę przekonacie, warto było się fatygować i tracić swój cenny czas – sprawa bowiem jest epokowa. Niepowtarzalna, warta poświęceń najwyższych i stąd tak ważna aktywna obecność operatywnych, sprawnych mediów. A’propos panie Caine, otrzymałem właśnie informację, że Sieć AB ma jakieś kłopoty z jakością fonii naszej transmisji na 42 kanale w Filadelfii? (Oklaski i śmiech)

– W takim razie zaczynamy.

Ronson najwyraźniej był także urodzonym showmanem. Już w pierwszych słowach udało mu się wytworzyć luźny, swobodny nastrój tej niby konferencji telewizyjnej i o to w gruncie rzeczy chodziło. Sympatia szerszej, cyrkowo, jarmarcznie

zorientowanej publiczności murowana a więc pewność osiągnięcia zamierzonego celu większa.

– Proszę państwa – kontynuował Ronson spacerując niedbale w powodzi światła z ręką w kieszeni eleganckich spodni. – Wszyscy znamy gnębiące ludzkość problemy, że przypomnę krótko – przeludnienie, głód, zanieczyszczenie środowiska, wojny, choroby, i tak dalej. Mnóstwo porządnych ludzi łamie sobie bezskutecznie od lat głowy co zrobić aby tę sytuację zmienić. Nadaremnie, nadaremnie powtarzam, bo w tym stadium choroby, że tak powiem, jedynie skuteczne mogą być tylko rozwiązania radykalne i szybkie. Ale o sprawach przykrych będziemy mówić po części artystycznej, co państwo na to?

Cichy pomruk był jednoznacznym wyrazem aprobaty dla tej propozycji.

– W takim razie poproszę do mnie panów Sheady’ego oraz Redgrave z Narodowego Instytutu Elektrotechniki aby sprawdzili płomby na swoich bocznikach i miernikach.

W krąg światła wstąpiło niepewnie dwóch dżentelmenów w eleganckich, kraciastych marynarkach i stanęło obok Ronsona. Ten podszedł z nimi do nieznanej konstrukcji i przez chwilę coś wspólnie oglądali, po czym gospodarz zwrócił się do nich, fachowo podtykając im do ust mikrofon.

– Czy sprawdziliście panowie nienaruszalność plomb założonych na waszym sprzęcie?

– Tak, tak – odpowiedzieli kolejno.

– Czy wszystko w porządku?

– Najzupełniej.

– W takim razie proszę pozostać tutaj dla potwierdzenia odczytów. A teraz poproszę jeszcze kamerzystę z naramiennym sprzętem, najlepiej z CMM – zwrócił się ponownie do widowni.

– Szanowni państwo. Zobaczycie teraz eksperyment, którego prawidłowy przebieg gwarantować będą obaj panowie, największe krajowe autorytety w dziedzinie energii elektrycznej. Eksperyment polega na przepuszczeniu przez tę metalową belkę, o powierzchni przekroju hm... zdrowego uda pięknej kobiety, wykonanej ze specjalnego stopu metali o nazwie kanthał. Ponieważ belka ta posiada znacznie większą rezystancję niż jej doprowadzenia prądowe, to płynący przez obwód prąd elektryczny o wartości stu pięćdziesięciu tysięcy amper rozgrzeje do białości tylko belkę. Prąd ten będzie pochodził z wtórnego uzwojenia tak zwanego transformatora, przekształcającego wysokie napięcie uzwojenia pierwotnego na wielki prąd uzwojenia wtórnego. Mam nadzieję, że wszystko jest jasne. Jeśli nie to szczegółowych wyjaśnień proszę żądać po programie, dotyczy to zwłaszcza pań, mniej obeznanych z dużym..., przepraszam za wyrażenie, prądem. (Oklaski i śmiech)

– Wartość płynącego prądu, jego napięcie oraz czas trwania, a więc moc i energię jaka się na belce odłoży oraz jej temperaturę, zanotują i potwierdzą panowie Sheady i Redgrave. I rzecz najważniejsza. Pierwotne uzwojenie transformatora zasilane będzie z tego oto pudełka! – tu wyciągnął rękę teatralnym, wdzięcznym ruchem w bok, w stronę kontrastowo ciemnego lasu.

W tej sekundzie w głośnikach rozbrzmiał przeraźliwy dźwięk fanfar i z cienia, zza drzew, wyszła bardzo skąpo odziana panienka ze znanstwem balansująca obłymi biodrami, trzymająca przed sobą na złoconej tacy zielony prostopadłościan, wielkości może pięciu paczek Winstonów. Podała go Ronsonowi.

– Dziękuję Molly, dziękuję. Idź, odziej się drogie dziecko, bo już chłodno. (Oklaski i śmiech)

– Szanowni państwo! Oto jest bohater naszego show. Niepozorne, lekkie pudełko ale jaka w nim moc. To niesamowite. W pudełku tym drzemie moc o wartości pół miliona watów. Tak panowie – Ronson zwrócił się do protestujących z niedowierzaniem,

niektórych, najwyraźniej znających się trochę na rzeczy gości.
– Zaraz się o tym przekonacie.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której Ronson, w asyście ekspertów włączał pudełko w obwód elektryczny a ruchliwy kamerzysta z pomocnikiem nieco im przeszkadzali. Skończyli wreszcie i dowcipny prowadzący ponownie podjął swój wykład.

– To maleńkie źródło mocy jest teraz „uśpione”, ale proszę uważać. Na mój zakodowany sygnał radiowy zacznie wytwarzać napięcie przemienne o wartości prawie pięć tysięcy wolt i o mocy, jak powiedziałem, pół megawata, co spowoduje rozgrzanie do białości tej belki a następnie przepalenie jej. Panowie – zwrócił się do ekspertów – proszę prowadzić pomiary.

Wyjął z kieszeni maleńki nadajniczek, wystukał jakiś zestaw cyfr i w tej samej chwili, widoczna na postumencie belka kanthalowa zaczęła czerwienić, następnie przybrała kolor różowy, żółty, aż w końcu stała się białym, oślepiającym źródłem jaskrawego światła. W następnej chwili rozległ się huk i dookoła konstrukcji rozleciało się mrowie białych iskier stopionego metalu. Obwód został przerwany i prąd przestał płynąć. Przez moment wszyscy przyzwyczajali się do ciemnego, w porównaniu z błyskiem, oświetlenia areny.

Podczas gdy eksperci prowadzili zapis i obliczanie wyników pomiarów, Ronson odłączył od nieużytecznej już konstrukcji pudełeczko zasilające i trzymając je przed obiektywem kamery, kontynuował wyjaśnienia.

– Proszę państwa. To co widzieliście przed chwilą wydaje się niewiarygodne, ale oglądaliście fakty. Owo maleńkie źródło gigantycznej mocy jest jednym z kilku modeli jakimi dysponuję. Pozwolę sobie opisać je bliżej, Molly – Skinął ręką w stronę drzew, skąd wyszła wieczorowo już ubrana Molly, niosąc szklankę soku pomarańczowego. Ronson wypił połowę.

– Przepraszam, ale te reflektory strasznie grzeją. A więc energia elektryczna wytwarzana jest tutaj na zasadzie

całkowitej przemiany materii w energię. Powtarzam – CAŁKOWITEJ! Zgodnie ze znanym i banalnym już równaniem Einsteina. Oznacza to kompletny brak odpadów produkcyjnych, takich jak ciepło czy inne promieniowanie, popioły, dymy, zapylenie i tym podobne. Stąd obecni wśród państwa, mam nadzieję aprobujący taki sposób produkcji energii, przedstawiciele Green Peace. (Oklaski) Oznacza to również niewyczerpywalność paliwa, którym może być wszystko co uda się wsypać, wlać, wcisnąć w ten otworek. – tu pokazał do kamery maleńki, zakręcany otwór wsadowy. – Może to być piasek, ścieki, dowolne odpady, śmieci, ale również np: złoto, brylanty, pokrojony pozew sądowy czy fotografia teściowej. (śmiech i oklaski)

– Wydajność tej przemiany jest niewyobrażalna. Taką moc jaka stopiła nam tę grubą belkę kanthalową, a więc około pół megawata, można pobierać z tego maleństwa przez minimum dwieście lat bez uzupełniania paliwa. Bez przerwy, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– A co pan tam wsypał? – jeden z gości nie wytrzymał i wykrzyczał dręczące go pytanie.

– No cóż. Ponieważ niestety palę, włożyłem tam kawałek niedopałka cygara, widzicie państwo sami jaka jest siła nałogu. (Śmiech, oklaski)

– Ponieważ panowie eksperci już skończyli, bardzo proszę o raport pomiarowy – Ronson podetkał mikrofon Sheady'owi, który założył okulary, chrząknął niepewnie i z kartki odczytał co następuje:

– Stwierdziliśmy bezspornie, że w kontrolowanym przez nas obwodzie płynął przez dwadzieścia osiem sekund prąd przemienny sześćdziesiąt herców o wartości skutecznej stu czterdziestu dwóch tysięcy amper, co w szynie kanthalowej wywołało spadek napięcia trzy i sześć dziesiątych wolta. Daje to moc pięciuset dwunastu tysięcy, stu dziewięćdziesięciu czterech watów.

Energia jaka się wydzieliła wyniosła więc przeszło czternaście milionów watosekund lub inaczej mówiąc, prawie cztery tysiące watogodzin, albo cztery kilowatogodziny. Od siebie dodam, że jesteśmy z kolegą oszołomieni tymi niewątpliwymi faktami i nie wiemy co powiedzieć. Dziękuję.

Obaj panowie usiedli ponownie przy stolikach i nieco skołowani poprosili obsługę o podwójne porcje alkoholu.

– Dziękuję, dziękuję! – Ronson promieniał. – Jak sami państwo słyszeliście, nie moja w końcu aparatura pomiarowa, niejako ustami szacownych ekspertów, potwierdziła istotną część tego o czym tutaj państwu opowiadam. A teraz druga część przedstawienia, kto wie, może jeszcze bardziej zaskakująca i widowiskowa.

W tej chwili światła lekko przygasły a z głośników poczęła się saczyć cicho łagodna, niepokojąca muzyka. Po chwili, gdy oczy widzów przywykły nieco do względnych ciemności, jako, że tymczasem słońce zaszło i zrobił się wieczór, gdzieś daleko, pośród drzew dało się zauważyć silne, białe światło, które wydawało się zbliżać poprzez wysokie sosny. Coś przebijało się wolno i bezgłośnie na wysokości kilku metrów, lawirując między drzewami. Goście zamarli w niemym oczekiwaniu. Wszystkie kamery skierowane były na zbliżający się obiekt i w głębokiej ciszy jaka zapadła, słychać było jedynie ściszone relacje dwóch podnieconych reporterów, znaczących na rynku mediów sieci radiowych. Obiekt przebił się właśnie z chrzęstem łamanych gałęzi przez ostatnie drzewa i ku zdumieniu wszystkich, z lasu, na wysokości kilku metrów, wypłynął majestatycznie... czołg, najprawdziwszy, masywny czołg, stary, pocziwy Shermann, oblepiony jak choinka, mnóstwem migających lampek i reflektorków. Światła areny ponownie rozbłysły pełną mocą i widzowie mogli sycić się wspaniałym widokiem potężnego cielska maszyny, wiszącego stabilnie na wysokości kilku metrów nad polaną. W otwartym włazie stał uśmiechający się radośnie, łysiejący mężczyzna w okularach, również jak Ronson ubrany w nienaganny smoking, wymachując chorągiewką o narodowych

barwach i butelką szampana.

Widownia oszalała. Wszyscy wstali z miejsc. Przekrzykując się wzajemnie oraz ściskając jak popadnie, dawali upust zaskoczeniu i radości, uzasadnionej tym bardziej, że przecież wszyscy byli jakoś o czymś mniej więcej takim uprzedzeni, borykając się tylko przez ostatni okres z niepewnością i pełnym nadziei niedowierzaniem.

– Proszę państwa. Proszę państwa! – Ronson usiłował przekrzyknąć widownię. – Szanowni państwo. – nareszcie zapanował jaki taki spokój. – Oto mój wieloletni przyjaciel i wspólnik, współkonstruktor naszych skromnych urządzeń, genialny matematyk i programista, doktor automatyki, Sid Caster. (Długotrwałe brawa i okrzyki) – Sid, pozwól do nas.

Caster wyrzucił z włazu drabinę sznurową, odkorkował zgrabnie szampana po czym wstrząsając nim zwyczajem kierowców rajdowych, spryskał szlachetnym, pieniącym się trunkiem latający czołg i polankę. Następnie zszedł wolno po drabinie i stanął obok Ronsona. Wziął od niego drugi mikrofon i podczas gdy stareńki Sherman wisiał sobie nad areną, powiedział parę słów:

– Dobry wieczór państwu. Cieszę się, że nasz pokaz wywołuje tak żywe, pozytywne reakcje. Mamy nadzieję utrzymać ten nastrój do końca przedstawienia. Dziękuję. (Oklaski)

Inicjatywę ponownie przejął Ronson.

– Proszę państwa. Czas na wyjaśnienia. (Oklaski i następnie pełna skupienia cisza)

– Jak sami widzicie, mamy do czynienia z fenomenem fizycznym na skalę wszechczasów. Ten czołg utrzymywany jest w powietrzu przez cztery małe pudełeczka zamontowane w jego podwoziu. Jeśli panowie kamerzyści podejda ze swoim sprzętem pod spód, będą mogli dokładnie, do woli to sfilmować. Tylko proszę się nie przestraszyć uczucia obciążenia całego ciała wielkim

ciężarem. To nie jest groźne.

Podczas gdy kamery filmowały ostrożnie spodnie urządzenia Shermana i podawały ten obraz między innymi na duży ekran między drzewami, Caster wyjaśniał widzom znaczenie tego co widzieli.

– Te małe pudełka są źródłem precyzyjnie dawkowanego i kontrolowanego, ujemnego pola grawitacyjnego. Podstawy fizyczne, szczegóły techniczne i technologiczne są do wglądu po spełnieniu pewnych warunków, o których później. Dość powiedzieć, że generowane pole daje się precyzyjnie sterować tak gdy chodzi o jego gęstość energetyczną, moc, jak też pod względem rozkładu przestrzennego tej energii. Jednym słowem strumień pola może mieć dowolny, stabilny kształt, od cienkiej nitki, poprzez stożki dowolnych rozmiarów i proporcji, po rozwalcowaną, płaską strukturę. W tym przypadku generowane są dość płaskie stożki, gdyż z uwagi na dużą masę czołgu ciśnienie na jednostkę powierzchni pod nim, wiszącym na wysokości czterech metrów, musi być znośne dla przebywających pod spodem ludzi.

– Panowie! – Caster zwrócił się do filmujących pod maszyną kamerzystów. – Czy czujecie coś?

Ronson podszedł z mikrofonem i jeden z nich, członek ekipy AB, przyznał, że istotnie, czuje jakby stał pod wodospadem, ale nie jest to nieprzyjemne.

– Tak więc – kontynuował Caster – te cztery pudełka, w istocie precyzyjnie kontrolowane i wzajemnie synchronizowane generatory ujemnego pola grawitacyjnego, pożerają moc elektryczną o wartości zależnej od masy latającego obiektu, od przyśpieszeń chwilowych tego obiektu i od stałej grawitacyjnej, którą muszą pokonywać. W tej chwili jest to około jeden i pół kilowata. Bardzo mało, prawda? Obliczyliśmy z Harvey'em, że aby podnieść na dowolną wysokość i następnie z przyśpieszeniem 1G rozpędzić do prędkości przyświatlnej, dajmy

na to Empire Station Boulding, to potrzebna do tego moc w żadnym momencie nie przekroczy 20 kW. To mniej niż moc silników jednej windy w tym budynku. I tę moc, tę niewyczerpywalną moc, zapewnia nam nasza maleńka, kieszonkowa elektrownia. Harvey, oddaję ci głos. (Oklaski)

– Dziękuję – Ronson znów był w swoim żywiole. – Większość z państwa rozumie już o jaką stawkę chodzi. Jednak pozwolicie, że sprecyzuję i roztoczę przed mniej, że tak powiem uważnymi słuchaczami, bezmiar możliwości jakie te dwa maleńkie urządzenia otwierają przed naszym krajem i co tu dużo mówić, ludzkością. Najpierw gospodarstwa domowe. Już od jutra, no powiedzmy za pół roku, możemy wszyscy mieć w domu małe pudełeczko włączone w dowolne w zasadzie gniazdko instalacji domowej, lecz nie jako jeszcze jedno obciążenie a przeciwnie, jako źródło mocy. Wystukujemy na jego klawiaturze żadaną wartość generowanego napięcia, maksymalny prąd oraz jego częstotliwość, odcinamy się od elektrowni, wyrzucamy w diabły licznik poboru energii i... nie płacimy, nie płacimy i jeszcze raz nie płacimy. Nic. Mamy własną, bezpieczną i zupełnie darmową elektrownię. Znikają wszelkie, tak szpecące miasta i wsie przewody, doprowadzenia, linie przesyłowe, stacje transformatorowe, jakieś cholerne podziemne kable. Koniec z tym. To samo dotyczy wszelkich zakładów przemysłowych, firm, biur, stoczni, hut. Natychmiast spadają ceny na wszelkie produkty wymagające do ich wytworzenia energii, czyli w zasadzie na wszystko.

– Czy na... whisky też? – wszyscy usłyszeli głośne, chociaż jakieś takie niewyraźne pytanie z okolicy stolika rządowego.

– Zwłaszcza, panie senatorze. (Ogólny śmiech i oklaski) A komunikacja! Piękne, ciche, szybkie i nie smrodzące samochody elektryczne, samoloty, statki, pociągi. Rolnictwo proszę państwa! Wielkie hale ogrzewane i oświetlane cały rok, bez przerwy, tak jak nasza, funkcjonująca w tej chwili instalacja oświetlająca i ogrzewająca. Kilka razy w roku zbiór plonów. Zatrzesienie żywności. Ciepłownictwo i ogrzewanie domów. W

diabły! Elektrownie węglowe i atomowe? W diabły! Zapory energetyczne na rzekach? W diabły! Kozuchy, futra i okrycia zimowe? W diabły! Ubrania też mogą być ogrzewane! – Ronson podniecał się coraz bardziej. – No i cała awiacja, również kosmiczna. Budujemy wielkie, szczelne stacje, instalujemy w nich hodowlę wszystkiego co potrzebne, zabieramy wodę, powietrze, żony, dzieci, nasze banki, policję, instalujemy na szczycie małą gorzelnię, pod spodem cztery lub dowolną ilość małych pudełek i jazda do góry. Na poszukiwanie nowych planet, nowych terenów, nowego sensu.

W oczekiwaniu na kolejny aplauz zawiesił głos, lecz tym razem zaległa zimna cisza. Najwyraźniej do zgromadzonych tu przedstawicieli wymienionych branż, dotarła wreszcie niepokojąca, straszna myśl o śmiertelnym zagrożeniu ich interesów. Zobaczyli jasno do czego to wszystko prowadzi. Pierwszy otrzeźwiał szef sprzedaży Castrola, niejaki Dennehy, trzydziestoletni cwany dryblas.

– Proszę pana – zapytał głośno, – a czy może nam pan gwarantować, że oba te urządzenia są zupełnie niegroźne dla życia i zdrowia?

Najwyraźniej trafił w sedno gdyż wokół rozległ się pomruk aprobaty dla jego pytania.

– Panie Dennehy – Ronson już się opanował. – Ma pan zupełną rację podnosząc tę kwestię. Nasze urządzenia są niebezpieczne. Powiem więcej, są bardzo niebezpieczne, bardziej niż cokolwiek dotąd. Można przecież wyobrazić sobie, że ktoś, powiedzmy pan, zamontuje na dnie hm... jeziora Erie potężne grzałki i pewnego pięknego dnia podłączy do nich naszą mini elektrownię, zagotowując całą zawartą w tym jeziorze wodę razem z kąpiącymi się i plażowiczami. Albo przeprowadzi podobny eksperyment, podpalając pół Waszyngtonu? Może pan też odwrócić własny fruwający samochód „do góry nogami”, tak aby nasze pudełka grawitacyjne pracowały w niebo, załadować do niego swojego poborcę podatkowego i wcisnąć ten pojazd razem z nieszczęsnym

pasażerem w naszą piękną planetę, do jej jądra, i dalej, aż wyskoczy gdzieś na Oceanie Indyjskim i odleci w Przestrzeń. Wszystko jest możliwe. Ale podobne, choć przyznam, mniej spektakularne doświadczenia można prowadzić np. z żelazkiem, nożyczkami, parowozem czy lodówką. A jeśli pan pyta o możliwość np: niespodziewanego wybuchu naszej bateryjki, jakiegoś rodzaju szkodliwego promieniowania, nieznanego wpływu sztucznych pól grawitacyjnych na ludzkie zdrowie czy innych tego typu historii, to po pierwsze zapewniam pana, że nie ma się pan czego obawiać, a po drugie za wszystko będzie odpowiadał producent i sprzedawca tych urządzeń.

– No dobrze – nie rezygnował Dennehy, – a co z pracownikami niepotrzebnych już firm, co z akcjonariuszami, majątkiem, parkiem maszynowym?

– Wszystko w porządku. Jeżeli zainteresowane firmy zainwestują w nasze przedsięwzięcia i pomysły, jeżeli akcjonariusze nie wpadną w popłoch i nie sprzedadzą akcji, jeżeli zarządy i główni udziałowcy postąpią rozsądnie, to wszyscy jeszcze na tym zarobią mnóstwo dolarów.

– A jeżeli nie?

– No cóż. Wtedy... wszystko stracą – odparł zimno Ronson.

Nastrój wyraźnie się popsuł i zaległa krępująca cisza którą wreszcie przerwał Caster.

– Szanowni Państwo. Organizując to przedstawienie przewidzieliśmy taki właśnie rozwój wypadków. Dodam tylko, że będziemy mieli nieco większe kłopoty z armią ale to już ze zrozumiałych względów po transmisji. Proszę teraz uważnie posłuchać. Tak czy owak od tej chwili świat zaczyna się zmieniać, twierdzimy, że na lepsze. Niezależnie od tego czy dożyjemy z kolegą jutrzejszego dnia czy nie, sprawa już poszła w naród i kręci się niejako sama. W tej chwili tylko my dwaj wiemy jak skonstruować i uruchomić masową produkcję tych urządzeń, dodam dość prostą i nie wymagającą jakichś

specjalnych technologii. Jeśli jednak, jak mówię, nie przeżyjemy, co jest zupełnie możliwe, produkcja rozpocznie się i tak, również poza krajem i bez udziału naszego kapitału. Jest to oczywiście wredny, bezczelny szantaż, ale gramy w tej chwili o własne życie.

– A teraz – włączył się Ronson – ponieważ czas transmisji dobiega końca, na oczach milionów, jak mi donoszą, telewidzów, zniszczymy nasze urządzenia tak by nie można ich było odtworzyć bez naszego osobistego udziału..

I nim ktokolwiek zdołał mrugnąć, wcisnął nogą przycisk jakiegoś płaskiego pudełeczka leżącego w trawie. Nic się nie stało, jednak niespieszony Ronson odezwał się ponownie.

– Nieodwracalny proces destrukcji już się rozpoczął i nikt nie jest w stanie go zatrzymać, nawet my. W tej chwili chciałbym ostrzec przed zbliżaniem się do naszych obiektów, tak, że bardzo panów proszę o ponowne zajęcie miejsc i schowanie broni – zwrócił się spokojnie do kilku mężczyzn najwyraźniej chcących wbiec na arenę z wyciągniętymi pistoletami, którzy na takie dictum wycofali się pośpiesznie do swoich stolików. Jakieś dwie panie krzyknęły histerycznie, po czym zaległa martwa cisza.

– Mamy jeszcze chwilkę czasu, więc na zakończenie powiem tylko, że jeśli obaj z przyjacielem przeżyjemy, to niebawem prześlemy do mediów dalsze o nas wiadomości z adresami firm w których można będzie z obszernych katalogów zamawiać wybrane, niedrogie urządzenia naszego pomysłu. Jeśli nie przeżyjemy, sprawa rozleje się już bez żadnej kontroli na cały świat.

– Amen! – dodał Caster.

W tym momencie spod wiszącego dotąd spokojnie Shermana wytrysnęły cztery, skierowane w przeciwne strony gejzery białych iskier, widzowie usłyszeli silny huk, i ciężka opancerzona maszyna, niepodtrzymywana już żadnym polem, runęła bezwładnie w trawę z głuchym tąpnięciem, wbijając się w miękką

ziemię na głębokość kilkunastu centymetrów. W następnej chwili nastąpiły dwa wybuchy, jeden wewnątrz czołgu, widocznie niszczący jego fantastyczne zasilanie, drugi w obrębie użytej niedawno konstrukcji elektrycznej. Gdzieś dalej, w lesie, też zostały odpalone małe ładunki wybuchowe po czym zgasły wszystkie światła i przestały działać porozstawiane wszędzie w dużej obfitości grzejniki elektryczne. Nie zrobiło się jednak całkiem ciemno, gdyż właśnie dopalały się Sherman i pozostałości konstrukcji kanthalowej a poza tym ponownie nadleciały hałaśliwe śmigłowce, oświetlając teren z góry silnymi reflektorami. Ronson i Caster zniknęli wśród drzew.

Widzowie, pozostawieni na pastwę namolnych, już nie tak oględnych i kulturalnych panienek madame Love, domyślili się, że jest to definitywny koniec przedstawienia i zbierali się gwałtownie w stronę przejścia prowadzącego do ich samochodów.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

Autor: golesz (golesz@wp.pl)

Nadesłano do „Wolnych Mediów”